



Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.



34. „PJANYJ DUB”—W GUB. TAURYDZKIEJ 40 w. powyżej Oczakowa, w pobliżu Dniepru. Tu wedle tradycji miały się zatrzymywać czajki zaporozców płynących na morze.

mal. F. Przyszychowski.



Soboty i sobótki. 6)

Ta sama góra zwała się po polsku *Sobień*, więc gdy na niej stanął zamek Kmitów, tę samą otrzymał nazwę. Jaki zaś stosunek tej nazwy do nazwy Bieszczad, teraz każdy jasno widzi: jedna i druga oznacza jedno i to samo: pusty, bezludny las, puszcę leśną.

Ale jak od głuchy, ślepy, ciemny, ciasny, sam, wid, dziw, srom i t. d. mamy rzeczowniki oderwane (abstracta): głuchota, ślepotą, ciemnota, ciasnota, samotą, widota, dziwota, sromota, tak obok *sob*, *sobień*, *sobieci* t. p. powinniśmy mieć w tem samym znaczeniu także wyraz *sobota*, w zdrobieniu *sobótki*. Jakoż liczne nazwy miejscowe, tego brzmienia, napotykanne tam właśnie, gdzie były większe lub mniejsze obszary leśne, gdzie o hebrajskiej sobocie nie może być mowy, dowodzą tego niezbicie. *Sobota* jest: 1) wieś w pow. łowickim, 2) osada miejska nad Bzurą, 3) wieś w pow. łęczyckim, 4) wieś nad Popradem na Spżu, 5) wieś w pow. poznańskim, 6) wieś w pow. pleszewskim, 7) wieś w pow. grudziądzkim, 8) pustka w pow. lublinieckim.

Sobótki jest: 1) wieś w pow. łęczyckim, 2) wieś w pow. kolskim, 3) wieś w pow. opatowskim, 4) wieś w bielskim, 5) grupa zabudowań wiejskich w Zagorzycach w rozpryckim, 6) wieś w pleszewskim, 7) po niem. Zobtenberg (inaczej Góra Śląska), u stóp góry miasteczko *Sobótki*, 8) niem. Zobten am Berg miasto w świdnickim, 9) niem. Zobten am Bober wieś we lwowskim (Śląsk), 10) nadleśnictwo w strzygłowskim, 11) nadleśnictwo w niemieckim. Niektórzy myśleli, że te nazwy może stąd pochodzą, że tam w sobotę odbywały się jarmarki, ale niedorzeczność tego twierdzenia już stąd wynika, że u nas w sobotę z powodu święta żydowskiego nigdy jarmarków nie było; że to wszystko z wyjątkiem dwu miejscowości są wsie albo terytoria leśne, gdzie jarmarków nigdy nie było; że w takim razie trzebaby przypuścić, że to były osady, potem miasta bez nazwy, a dopiero, kiedy w nich zaczęły się w sobotę odbywać jarmarki, otrzymały nazwę *sobót*, co jest rzeczą niemożliwą, nie mówiąc już o tem, że nauka nie stwierdziła dotąd ani jednego przykładu, żeby miejscowość nazwano od dnia, w którym w niej odbywały się jarmarki lub coś podobnego. O sobocie hebrajskiej nie może więc tutaj być mowy, wszystkie te miejscowości mają starą nazwę stąd, że tam były niegdyś lub po części są jeszcze *soboty* lub *sobótki*, t. j. pustaczynie leśne.

Z wyvodu naszego wynika tedy niezawodnie,

że wyrazem, który u słowian najdokładniej wyrażał to, co łacińskie *templum i secretum*, nie mógł być inny, tylko *sobota*, i że wyraz taki u nas rzeczywiście był i oznaczał: a) odosobnioną, odgranieczoną pustkę leśną, b) odosobniony, odgranieczony las święty, c) świątynię zbudowaną, całkiem podobnie, jak wyrażenia staroniemieckie *wih, haruc, paro*, które oznaczają las i zarazem świątynię. Wiedząc zaś, jak się nazywała pogańska nasza świątynia, wiemy zarazem, jak się nazywały owe domki, stawiane na dziedzińcu świątyni dla celów religijnych, a następnie i domy takie w miastach, jak Szczecin, budowane na miejscach poświęconych w tych samych celach i pozostające ze świątyniami w ścisłym związku (tam składano ofiary, tu biesiadowano, stamtąd zabierano naczynia do tych biesiad dla możniejszych). Tak świątynie w ścisłym słowiańskim znaczeniu jak i te domki i domy zwaly się *sobotami*, w zdrobieniu *sobótkami* — jak *kontynami* zowią się jedne i drugie bez różnicy u żywoctarzy św. Ottona. A teraz już nie trudno wyrozumieć, jak przyszliśmy do *sobót* w znaczeniu „podcieni”. Gdy bowiem pojawiły się kościoły chrześcijańskie z podcieniami, które stanowiły jakby szereg dawnych *sobót*, stawianych na dziedzińcu świątyni (a może nawet w pierwszych czasach chrześcijaństwa pozwalano u nas jak u anglo-sasów stawiać je nawet przy świątyniach chrześcijańskich), to coż dziwnego, że nazwano je *sobotami*, zupełnie tak samo przez podobieństwo, jak gdzieindziej *Zamszami* i *Laubami*. Ponieważ *soboty* nasze były stawiane tylko przy świątyniach lub na miejscach świętych i służyły wyłącznie do celów religijnych, więc też żadne inne podcienia prócz kościelnych nie nazywają się *sobotami*. *Zamsze* i *lauby* były używane i do innych celów, więc nic dziwnego, że są i *Gartenlauby*, *Tuchlauby* i t. p.

A w jakimże to wszystko pozostaje związku z uroczystością *sobótek*, palenia ognia?

Niewątpliwie w takim.

Oprócz wielkiej uroczystości dorocznej, prowincjonalnej (może nawet krajowej, państwowej), w której niezawodnie brać mogli udział tylko możniejsi, naczelnicy rodów ze swemi rodzinami, a którą obchodzono po żniwach na podziękowanie bogom za zbiory i uproszenie pomyślności dla nowych w roku przyszłym, obchodzono w Słowiańszczyźnie jeszcze jedną wielką uroczystość doroczną, ale lokalną, dostępną wszystkim, którą dzisiaj nazywamy *sobótkami*, obchodzoną z początkiem lata. Gdy się ustaliło ciepło i podniosły



zasiewy, trzeba było dla tych zasiewów prosić o błogosławieństwo i zabezpieczyć je przed złymi wpływami; trzeba było także zabezpieczyć siebie i zwierzęta przed zarazą, uświęcić ziemię, wody i wszystko, aby nie miały mocy złe demony.¹⁾ Najlepszym zaś środkiem przeciwko wszystkiemu złemu był ogień, największa świętość u słowian, a niegdyś u wszystkich aryów i niearyów, jak świadczy biblia. Ale i ogień, ta największa świętość i nieskazitelność, brudził się przez zetknięcie ze światem i tracił swą moc ochronną, więc trzeba go było odnawiać. W Rzymie odnawiano go co roku dnia 1 marca, u nas zaś bezwątpienia w czasie uroczystości sobótek, jak na to naprowadzają najrozmaitsze wskazówki, a między niemi zwyczaj, zachowany u nas i u innych słowian do ostatnich czasów, że kiedy zaczęła grasować zaraza na ludzi lub bydło, gaszono we wsi wszystkie ognie, opuszczano wieś i w lesie wydobywano ogień „nowy” przez tarcie drzewa o drzewo. Gdy ogień wydobyto, rozpalano wielkie ognisko, z którego zabierał sobie każdy świeży ogień do domu i zaraza ustawała.²⁾ I najdawniejsze wzmianki u naszych pisarzy o sobótkach stwierdzają także wyraźnie, że na nich wydobywano ogień przez tarcie, co zarazem wskazuje cel uroczystości, zwanej zresztą u południowych słowian *kr es e m t. j.* krzesaniem ognia.

Gaszono więc niewątpliwie przed uroczystością sobótek wszelki ogień w osadzie i pod przewodnictwem kapłana w uroczystej procesji z uwiecznionymi ofiarami z bydła podążano do gaju świętego „na sobotę”. Tu po modłach wydobywano przez tarcie „nowy” ogień i rozpalano wielkie ognisko, poczem zapewne wśród stosownych śpiewów z zapalonymi pochodniami (ze szmat, napojonych smołą lub coś podobnego) obchodzono dokoła granice osady, bo co ogień objął i oświecił, do tego nie miały już przystępu złe demony. Przy tej sposobności „urzekal” (błogosławił) zapewne kapłan pola, łąki, lasy, pastwiska i wody, których to ostatnich bóstwa równocześnie niezawodnie wieńczono, rzucając do wody wieńce, i wodę samą poświęcano, rzucając do niej rozżarzone głownie, bo taki był sposób poświęcania wody u starożytnych (np. gre-

ków), a niewątpliwie i u nas, jak świadczy np. woda na uroki, przyprawiana dotąd w ten sposób, że do wody źródlanej rzuca się rozżarzone węgle, a potem się ją pije lub nią pociera to, co boli. Po tej procesji, której towarzyszyły zapewne i ofiary ze zwierząt, jak przy rzymskich *a m b a r w a l i a c h*, wracano „na sobotę”, gdzie następowało złożenie ofiar ze zwierząt, a zapewne i innych, wreszcie, jak zwyczajnie po ofiarach, uczta i zabawa.

Ponieważ „na sobocie” spędzano co najmniej jedną noc, więc każda rodzina dla dziatwy, starców i chorych, a także dla zabezpieczenia się przed słątą (a może z przepisu religijnego) starym obyczajem budowała sobie sobótkę, rozkładała przed nią wzięty ze wspólnego ogniska ogień, gotowała mięsivo i potrawy ofiarne, ucztowała i zabawiała się wesoło, tańcząc, śpiewając i przeskakując przez ogień, bo to zabezpieczało przed chorobami. Bo jakkolwiek to czasy wspólnot rodowych, to przecież trudno przypuścić, żeby dla wszystkich jedną wielką stawiano sobótkę, żeby wszyscy przy jednym zasiadali ognisku i wszyscy z jednej jedli misy (zwłaszcza jeśli ród był liczniejszy), owszem, mamy wskazówki, że rozsiadano się kupami, zapewne rodzinami.¹⁾

Po uroczystości zabierał każdy ze sobą odświeżony ogień do ogniska domowego, w którym go aż do następnych sobótek nie gaszono.²⁾ Po wprowadzeniu chrześcijaństwa lud trwał dalej usilnie przy dawnym zwyczaju odświeżania ognia i kościół miał z tą sprawą długie czasy niemało kłopotu. Sam święcił i święcił ogień w Wielką Sobotę, który lud gdzieś w hubkach do domu zanosil³⁾ lub przynajmniej węgle ze spalonych cierni. Ale to nie wystarczało, więc próbował poświęcić ogień w dzień *T r z e c h K r ó l i*, łącząc widocznie tym sposobem zwyczaj pogański z „nowem światłem”, z gwiazdą trzech mędrców wschodnich⁴⁾, to znowu w dzień św. Wawrzyńca⁵⁾ (10 sierpnia), który zginął śmiercią męczeńską na ogniu.

(CDN)

S. Matusiak.

¹⁾ Obchodzone koło tego samego czasu i w tym samym celu uroczystości rzymskie zwały się u rolników *a m b a r v a l i a*, u pasterzy *P a l i l i a*. Przy tych ostatnich palono ognie i skakano przez nie, jak u nas jeszcze teraz przy sobótkach.

²⁾ Zob. Wisła V. 166, 432, 433, 924. VI. 165. 920. 921. O. Kolberg. Chełmskie II. 114. Lud. I. 143.

¹⁾ Helmold. Kronika 127. Długosz. Historia. I. 48.

²⁾ Stąd u ludu przesąd, że ognia na kominie nie należy zalewać, gasić, lecz tylko ogarnąć, żeby się sam spokojnie wypalił.

³⁾ Dr. E. Janota. Lud i jego zwyczaje (Lwów 1878) str. 71.

⁴⁾ O Kolberg. Kąlskie I. 66.

⁵⁾ O. Kolberg. Kujawy I. 92. Poznańskie I. 142, 144. III. 44.





Z podróży na Pomorze. 2)

Widzimy tu „dominium Louwenburgense” (ziemię lęborską) odgraniczone rzeką Lupawą od zachodu od „ducatus Vandalia” z miastami: Słupsk, Masto (Rumelsburg) i Sławnem, ciągnące się ku zachodowi aż poza rzekę Grabową. Ta „Vandalia” jest „księstwem sławęskim czyli słowińskim, późniejszą „terra Slavie”. Odczuwa też i Parczewski ziemiopisność „słowinszczyzny”, chociaż w tym kierunku rzeczy głębiej nie roztrząsa.

Z powyższego, jak sądzę, wynika, iż „słowenskość” nie oznacza żadnej plemiennej, ani gwarowej odrębności, posiadając jedynie dziejowo-ziemiopisne znaczenie.

„Sławieskiej” ziemi stolicą obecnie jest Słupsk, chociaż to tylko miasto okręgowe, należące do regencji koszalińskiej. W mieście nie słychać ani słowa polskiego. Wszystkio tu niemieckie. Tylko na sztydach sklepowych sporo jest nazwisk polskich. Oto mała ich wiązanka: Gurski, Pilla, Milewski, Gallowsky, Palischewski, Wischnewski, Dollega, Kotscheba, Kurtzawa i inne jeszcze. Widząc poprawnie pisane na szyldzie nazwisko Milewski, w dodatku z imienia Stanislaus, myślałem, że to sklep polaka, więc wszedłem do niego uradowany, iż będę mógł od rodaka zasięgnąć wiadomości o stosunkach miejscowych. Doznałem jednak niemiłego złudzenia, gdyż ów Stanislaus Milewski był nietylko nawskroś Niemcem, lecz w dodatku zajadłym narodowcem niemieckim. Dobrze było, iż rozpocząłem z nim rozmowę po niemiecku a nie po polsku, inaczej byłbym się miał z pyszna. Gdy bowiem na wstępie zapytałem się go, czy jest Polakiem, zaśmiał mi się szydlerczo w oczy, mówiąc:

— Bogu dzięki nie — jestem najlepszym Niemcem, urodzonym pomorzaniem. Nazwisko moje brzmiące po polsku może istotnie mylić, co mi jest wcale nie miło, gdyż ja z Polakeryą nie mam nic wspólnego. Byłbym już dawno zmienił nazwisko, lecz firma moja jest stara, od pradziada, więc zrozumie pan, że zmiana nazwiska byłaby dla niej niekorzystna.

Potem dodał, zwiierzając się poniekąd przedemną:

— Przyznaję się otwarcie, że do wszystkiego, co polskie, w e n d y j s k i e, czuję nietylko odrazę, lecz je nienawidzę.

— Dlaczego? — zapytałem.

— Dlaczego? — podjął. — Bo my tu na wschodzie niemieckim musimy się mieć przed nimi na bacności, by nas nie przerosli. W Niemczech musi

każdy być Niemcem. Dla wendów czy Polaków niema tu absolutnie miejsca. Dlatego muszą być co do nogi wygubieni (a u s g e r o t t e t).

Miałem dość rozmowy z renegatem.

W ratuszu, mającym bardzo starożytny wygląd, gdzie się zgłosiłem do sekretarza prezydyjnego z prośbą o pozwolenie mi rozejrzenia się w archiwum i księgozbiórce miejskim, doznałem dobrego przyjęcia. Nie tylko bowiem zadość uczynił mej prośbie, lecz sam przynosił mi pod pachą wszystko, co rada miejska w swoich zbiorach posiada ciekawszego. Było tego bardzo niewiele, między tem zaś może najciekawszą rzeczą była praca rękopiśmienna pastora Hackena o dziejach ziemi słupskiej, w której znajduje się dużo ciekawych szczegółów o germanizacji tej części Pomorza.

Straciliśmy Pomorze, a mało co wiemy, jakeśmy je stracili. Piśmiennictwo nasze jest bardzo ubogie w prace źródłowe z tego zakresu, a to co w tym kierunku wiemy, czerpiemy ze źródeł przeważnie niemieckich, ze źródeł stronniczo wrogich, od tych, którzy pochłonęli już tyle ziem lechicko-polskich i wciąż na ziemiach rdzennie polskich posuwają się dalej ku wschodowi.

Przyznać atoli trzeba, iż ze źródeł niemieckich odzywa się czasem głos uczciwy, nie mijający się z prawdą, a dlatego cenny. Do takich należy kronikarz niemiecki K a n t z o w, z którego przedstawienia rzeczy widać, jakie moralne spustoszenie ludu na Pomorzu spowodowała germanizacja, gdy wydarto temu ludowi język rodzimy z głębin serca. Kantzow pisze: „Z wyjątkiem garstki wendów na Tylnem Pomorzu jest teraz w naszym kraju lud niemiecki i saski. Lud ten jest bardzo żarłoczny i skłonny do zwady, a korzysta z pierwszej lepszej sposobności, by hulać i rozrzucać pieniądze. Urodzi się dziecko, mają swe żarcie kobiety; gdy się je chrzci, sprasza się kumów i najbliższych przyjaciół na pijatykę. Na weselach odprawia się pohulanka z przyjaciółmi i obcymi przez 3, 4 a czasem więcej dni. Nieraz posag panny młodej przepiją się. W wypadkach śmierci zaprasza się wszystkich w gościnę, a gdy zmarły był czemś znaczniejszym, to sprawia się zaproszonym kąpiel. Ludzie kąpią się, piją piwo i jedzą chleb. To samo na Wielkanoc, Zielone świątki, Boże Narodzenie i przy ostatkach zapust: żarcie i pijatyka. W stroju i w klejnotach niema powściągliwości. Mężczyźni chodzą u szlachty w aksamiatach i jedwabiach, kobiety zaś nie ruszają się z miejsca bez srebra i złota, pereł i wielkich złotych



STARE SROJE LUDOWE NA POMORZU.

łańcuchów. Mieszczanie naśladową szlachtę lekkomyślnem sercem i też zaczynają nosić aksamity perły, złoto. Tym znowu nie chcą ustępować chłopci, przywdziewają więc ubiór z sukna angielskiego. Lud pospolity w szczególności na wsi jest obcym niechętny i niechętnie ich przyjmuje. (Zdaje się, mowa tu o pierwotnej ludności słowiańskiej). Lud ten jest więcej dobroduszny, wierny, milczący a nienawidzący kłamstwa i pochlebstwa”.

Źródło to donosi dalej: „Jest już więcej niż sto lat, gdy tu (na wyspie Rujnie) zmarł ostatni wend”, a o ludzie rujniańskim wyraża się, że jest „bardzo burzliwy” i „kłótniwy”,... „Omnes insulari mali.” Na całym Pomorzu nie zabijają tyłu zeszlachty i innych jak na tej wyspie, a procesów tam tyle, co na połowie Pomorza, które tylekroć od niej większe.

Brüggemann (w r. 1779) o pomorskiej ludności kaszubskiej pisze: „Co się tyczy ludu wiejskiego, są jeszcze okolice, których mieszkańcy są wendami niemieszanej krwi, odróżniającymi się od ludności niemieckiej ubiorem, sposobem życia, zwyczajami, narzeczem i usposobieniem. Za rzeką Lupawą (w kierunku zachodnim) są jeszcze szczątki starych „Wendischdeutscher” (nawpół zniemczonych kaszubów); prawdziwe wendyjskie potomstwo znaleźć można pomiędzy rzekami Lupawą a Łebą” Pisarz ten wyraża się bardzo korzystnie o ludności kaszubskiej. „Należy się im pochwała — pisze — uczciwość, chytrność i oszukaństwo są u nich bardzo rzadkie... Są z uszanowaniem dla władzy i dla swoich kaznodziejów. Obcują ze sobą bardzo po przyjacielsku. Nie są niezgrabni do sztuk i nauki, sko-

ro niejeden syn chłopski stał się uczonym. Posiadają oni dużo zręczności w budowaniu okrętów, domów, młynów, w sztuce zegarmistrzowskiej i t. p. Niewiasty zajmują się przedźbą i tkactwem. Wyrabiają płótna, sukna wełniane i półwełniane, których używają do ubiorów, sporządzanych przez siebie dla całej rodziny. O złodziejstwach nic u nich nie słychać, zdarza się tylko niekiedy kradzież drzewa i owoców, czego jednak nie poczytują za grzech. Żyją miernie i trzeźwo, tylko

przy uroczystościach przekraczają umiarkowanie, jednak bójek unikają. Odnaczają się gościnnością i usłużnością. Użyczają chętnie i na każde zawołanie pomocy podróżnym. Żebrakom dają hojnie jałmużnę, dlatego tyłu ich się uwija między nimi... W rozmowie posługują się mnóstwem przysłów i gadek, które w części składają świadectwo o wrodzonym im dowcipie”.

Wendowie na lewym brzegu Lupawy, których zowie „Wendischdeutsche”, posługują się także językiem niemieckim. Mają swe narzecze „platt”, w którym „dużo słów wendyjskich”. Wymawiają w niemczyźnie jak mazurzy i połabianie: *a* jako *o*, *scy* jako *sk*, *af* jako *ch*. Mówią „Lucht” zamiast „Lust”, używają w swem narzeczu niemieckiem zamiast „Stube” (izba)—*dörretz*, zamiast *Tasche* (torba)—*chobke*, zamiast *dumm* (głupi)—*glupog*, zamiast *Ecke* (kąt)—*kön*, zamiast *thöricht* (niedorzeczny)—*davalsh*, zamiast *Vater* (ojciec)—*athitd*.

W kościołach na Pomorzu ginął język kaszubski podług dr. Tetznera w następującym chronologicznym porządku: w Słupsku około roku 1700; w Lupawie i Wrzeszczu (Freest) około r. 1778, w Sodlenie (Zetlin), w Chocelowie (Chotzlow), Dobnerzenie (Dübsow), około 1787 r.; w Michrowie (Mickrow) około r. 1795; w Budowie (Budow), Mozenie (Mossin), Skorzewie (Schürow), Dumnie (Dammew) około r. 1799; w Rowku (Rowe) około r. 1816, w Słojcwie około r. 1832; w Szmoldzenie około r. 1845; w Gardnie około r. 1850; w Łebie około r. 1856; w Bytowie w r. 1865, w Osiekach (Osseken) w r. 1871, w Chabrowie 1876, w Cece-nowie w r. 1886.

(CDN)

G. Smólski.





ZBIORY POLSKIE.

Rozpoczynamy w numerze niniejszym nowy, wyodrębniony szereg szkiców, obrazujących dobytek kultury polskiej. Pod ogólnym nagłówkiem naczelnym „Zbiory polskie“ umieszczając będziemy opisy muzeów, galeryi, bibliotek, z nagromadzeniem w nich bogactwem pracy rąk polskich, z przechowywanymi zbożnie dla przyszłych pokoleń widomymi śladami myśli polskiej, z odtworzonym wreszcie podłożem, w którym te ręce i myśl polska działają, bujnym i pięknym kwiatem kwitną, zdrowym i pożywnym owocem obradzają. Zatem wszystko—od zbiorów czysto przyrodniczych począwszy, do najwykwintniejszych, najsztudniejszych przejawów ducha ludzkiego—do książki i dzieła sztuki, od wielkich instytucyi, wielkich „skarbnic narodowych“, do mniej znanych, skrzętnie i żarliwie gromadzonych zbiorów prywatnych.

Uchodzimy—słusznie zresztą—za naród w te właśnie bogactwa ubogi. W porównaniu ze szczęśliwszym, czy może z lepiej cel i wagę tych rzeczy rozumiejącym zachodem, mało mamy muzeów, a te, które mamy, walczyć muszą z najniepomyślniejszymi nieraz warunkami rozwoju. Jednak przecie błędem i nieprawdą byłoby twierdzić, że jesteśmy społeczeństwem, które tworzy swoje lekką ręką, jak dziecko zabawkę, odrzuca, które nie rozumie, niema wé krwi poczucia konieczności oszczędzania tego, co jest jego bogactwem, pociechą i chlubą. Tak źle nie jest. Nie tu miejsce roztrząsać, dla czego zamiary nie stoją na wysokości potrzeb. Próżnym też i niewdzięcznie bolesnym byłoby przypominać, po ilekroć razy u nas mozolnie, z rzetelnym zaparciem się siebie, z najgłębszem oddaniem się stawiane monumenty waliły się niby domki z kart. Dość będzie przestać na stwierdzeniu—z dnia na dzień coraz mniej wątpliwem, że we współczesnem społeczeństwie polskiem, prąd do zbierania, do używania zbiorów tych sobie i po-

tomnym za naukę, za pokrzepienie rośnie, rozwija się, coraz głębsze zapuszcza korzenie.

Temu właśnie prądowi być w najskromniejszej bodaj mierze pomocnym będzie celem szkiców niniejszych. Sami sobie i tym wszystkim, którzy tych wiadomości czują potrzebę, chcemy pokazać, uświadomić nasz „stan posiadania“ dzisiejszy: cośmy zrobili, co i jak zebraliśmy, co w prostej, nieuniknionej konsekwencji do zrobienia zostaje. Nic to, że pierwsze do drugiego znajduje się w stosunku zgola niezadowalającym, że zrobiliśmy tak mało, że do zrobienia zostaje tak wiele. Niechaj właśnie płynie z dziejów powstawania i rozwoju tych skarbnic, tych ognisk kultury, nauka, jak wiele, jak nieskończenie wiele zdziałać może wyteżona, uporczywa, nie zbacząca z wytkniętej drogi wola ludzka. I niech ten porachunek tym, którzy chcą współdziałać, będzie zachętą.

Nie kreślimy zamiarom naszym żadnych ściślejszych schematów i planów. Dawać będziemy poszczególne opisy, tak jak nam będą napływały, tak jak nam je się uda pozyskać, co nie zawsze i nie w równej mierze może być łatwe. Mocno przeświadczeni o potrzebie podjętej pracy rozpoczynamy ją wyborną choć nieuchronnie szczupłą rozmiarami monografią jednej z najzasobniejszych książnic warszawskich—Biblioteki ord. Krasińskich. Czy i kiedy uda nam się rozpocząć seryę dokończyć, dotrzeć do najmniejszych bodaj a cennych zbiorów polskich, wyczerpać ją i zamknąć—po dzień ostatni—przyszłość pokaże. Tyle tylko dodać możemy, że i tu jak zawsze o pewne współdziałanie w pracy naszej łaskawych czytelników naszych prosimy, że wszelka z ich strony pomoc—bądź to w formie całych opisów, bądź prostych wskazówek, gdzie i co znaleźć można godnego opisu—przyjęta będzie z niekłamaną wdzięcznością.

I. Biblioteka Ordynacyi hr. Krasińskich w Warszawie.

Mińęło niedawno lat 50 od chwili, gdy biblioteka Ordynacyi hr. Krasińskich rozpoczęła swą służbę dla dobra polskiej nauki. W chwilach najcięższych, najboleśniejszych w życiu kraju, w owej dobie, gdy nauka nasza, pozbawiona uniwersytetów i wszelkich pomocy naukowych, przechodziła najkrytyczniejsze momenty, biblioteka hr. Krasińskich była tą oazą, gdzie pracować mogli uczeni humaniści warszawscy. Przez niewielką salkę czytelnianą przy ulicy Berga przesunęły się dwa po-

kolenia pracowników na niwie naukowej, — a ile rozpraw było tu opracowanych przez ten czas!

Biblioteka zaś przez lat 50 wzbogacała się nieprzerwanie, mając oddanych sobie opiekunów w członkach ordynackiego domu Krasińskich.

W rodzie Krasińskich zamilowanie do bibliotekarstwa przechodziło z pokolenia na pokolenie. Jeszcze w szesnastym wieku wstawili się Krasińscy zbieraniem księgozbiorów, a dwaj z nich nawet: Stanisław, archidyakon krakowski (†1598), i Jan



EX-LIBRIS TOM. CZAPSKIEGO *roboty Derschna z Gdńska.*

rał książki we wszelkich językach europejskich, dając jednak przewagę dziełom historycznym. Jako prawdziwy bibliofil postarał się nawet o dwa piękne exlibrisy, roboty Derschna, którymi przyozdobił swą 300-tomową bibliotekę. Jeden z exlibrisów, przedstawiający portret starosty, umieszczany był na początku książki, na końcu natomiast przylepiano znak herbowy.

Po zamążpójściu wnuczki Tomasza Czapskiego odziedziczona po nim biblioteka znalazła się obok księgozbioru generała Wincentego Krasińskiego. Generał Krasiński należał do tych ludzi, którzy nawet podczas pochodów wojennych nie zapominali o swem zamiłowaniu do książek, i gdzie się dało, nabywali rzadkie dzieła i rękopisy. Biblioteka generała, licząca bez mała 1800 dzieł, o bardzo bogatym dziale wojskowym, stanowiła ważne dopełnienie do zbioru Czapskich. Wzorowo utrzymywane zbiory Wincentostwa Krasińskich wzrastały stale, zachowywały jednak ściśle prywatny charakter. Dopiero po śmierci generała Krasińskiego i syna jego, genialnego Zygmunta, biblioteka Krasińskich, dostawszy się pod rządy Ludwika hr. Krasińskiego, miała wstąpić na nowe zupełnie tory.

Hrabia Ludwik Krasiński rozumiał doskonale, jakie znaczenie dla kultury krajowej mają biblioteki, to też postanowił otworzyć księgozbiór Krasińskich dla uczonych polskich, zaopatrzywszy go w środki na utrzymanie personelu i przyłączywszy

kanonik gnieźnieński († 1612), zapisali swe cenne biblioteki kościołowi parafialnemu w rodzinnem Krasnem. W 100 lat później wojewoda Jan Dobrogost Krasiński zebrał w swym słynnym pałacu na placu Krasińskich w Warszawie wspaniałą księgozbiór, składający się z dzieł w językach łacińskim, francuskim, niemieckim, angielskim, włoskim i polskim, głównie z zakresu historii i geografii.

W wieku XIX nie było rezydencji Krasińskich, w którejby nie znajdowały się księgozbiory zasobne i uporządkowane. Była więc biblioteka i w Radziejowicach i Krasnosielcu i w Warszawie, w starożytnym pałacu Czapskich, który wszedł w posiadanie Krasińskich wskutek małżeństwa ks. Radziwiłłowej, urodzonej z Czapskiej, z generałem Wincentym Krasińskim. Pałac Czapskich stał się miejscem, w którym zlać się miały księgozbiory poszczególnych linii Krasińskich i kilku spokrewnionych z nimi rodzin. Już w chwili, gdy siedzibę Czapskich wnosila ks. Radziwiłłówna w dom Krasińskich, posiadała ona wcale piękny i uporządkowany księgozbiorek. Pierwotnym twórcą jego był rodzony dziad jenerałowej Krasińskiej, Tomasz Czapski, starosta knyszyński. Pan starosta zbie-



KONSTANTY ŚWIDZIŃSKI
z obrazu w zbiorach Bibl. Ord. Kras.



PAŁAC KRASIŃSKICH W WARSZAWIE. W KTÓREGO PRAWYM PAWILONIE NA PARTERZE
MIEŚCI SIĘ BIBL. ORD. KRASIŃSKICH

fol. J. Niekrasz.

doń jedną z najbogatszych podówczas bibliotek polskich — bibliotekę Konstantego Świdzińskiego.

Znane są dobrze smutne losy zbiorów i zapisu Konstantego Świdzińskiego, który życie całe poświęcił zbieraniu dzieł i rękopisów, mających związek z przeszłością Polski. Cały swój czas i całe swe dochody przeznaczał on na kolekcjonowanie swych zbiorów. Pod koniec życia był panem olbrzymiego księgozbioru, składającego się z około 21,912 dzieł w 25,317 tomach, z 1031 rękopisów, 12,492 rycin, około 3000 monet i 246 przedmiotów archeologicznych. Świdziński nie miał dzieci, nie miał bliższych krewnych, którymby mógł zaufać, po głębokim więc namyśle, postanowił przekazać całe zbiory Ordynacyi margrabiów Wielopolskich, przeznaczając nadto dobra swoje Sulgostów, mające około 280 włók ziemi, na ich utrzymanie. Życzeniem Świdzińskiego było, by zbiory jego umieszczone zostały w Warszawie, w specjalnie nabytym na ten cel domu. Połowę dochodu z Sulgostowa, pozostałą po opłaceniu personelu, przeznaczał Świdziński na dalsze zwiększanie zbiorów, część dochodów nadto według życzenia fundatora miała być obracana na wydawnictwa naukowe, które prowadzić miał specjalny kierownik

literacki. Fundacya Świdzińskiego przynieść mogła nieobliczalne korzyści nauce polskiej, niestety, nie było jej sądzono dojść do zamierzonego skutku. Z jednej strony bracia przyrodni Konstantego Świdzińskiego wyteżyli wszystkie swe siły, by zwać testament i zagarnąć Sulgostów dla siebie, z drugiej znowu strony margrabia Aleksander Wielopolski nie chciał się zgodzić na umieszczenie zbiorów w Warszawie, lecz sprowadził je do swojej wiejskiej rezydencji w Chrobrzu. Społeczeństwo wobec tego żywiło doń słuszny żal i nie poparło go w długim procesie z rodziną Świdzińskich. Ostatecznie margrabia zmęczony i rozgoryczony procesem postanowił zrzec się fundacyi Świdzińskiego, rezygnując z biblioteki i z przywiązanego do niej majątku. Zachodziła obawa, że zbiory sulgostowskie, przez lat tyle zbierane na pożytek nauki, rozproszą się i zginą bezpowrotnie. Dzięki jednak zabiegom takich ludzi, jak Aleksander Przeździecki, jak Władysław Małachowski, jak Ludwik Krasiński, udało się sprawę uratować chociaż częściowo. Ci zasłużeni obywatele zaproponowali Świdzińskiemu, by przyłączyli swe zbiory do biblioteki Ordynacyi Krasińskich, zatrzymawszy sobie na wła-



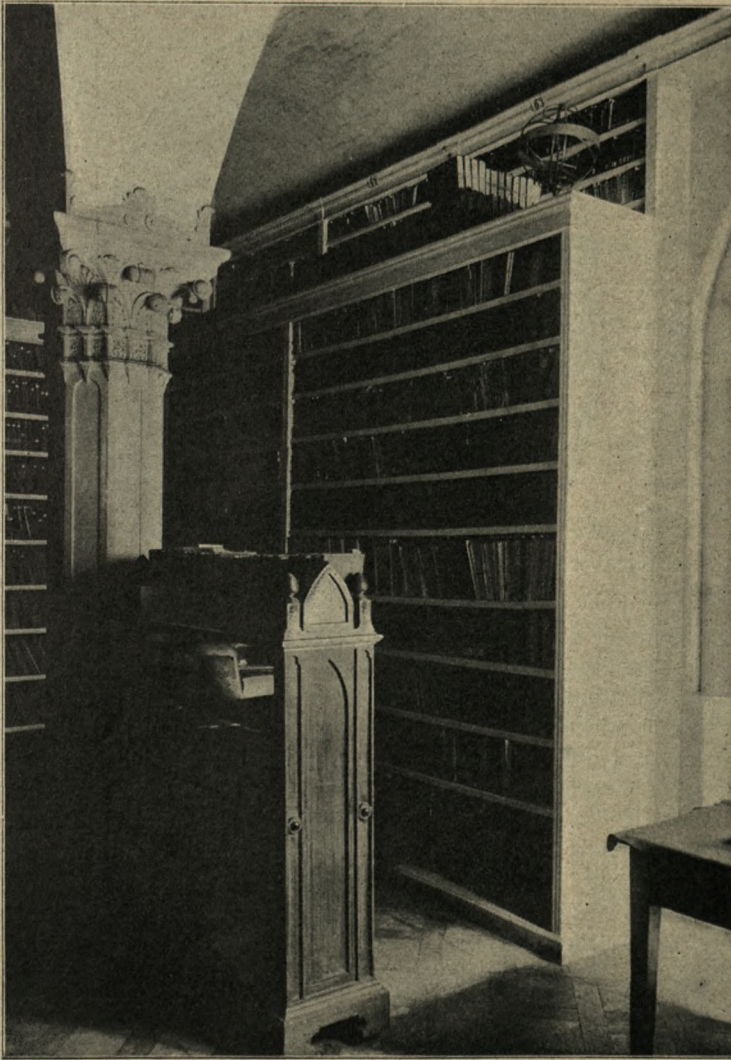
sność Sulgostów. Po długich pertraktacjach spisano wreszcie dnia 3 lipca 1860 r. akt pomiędzy Świdzińskimi a hr. hr. Karolem i Ludwikiem Krasieńskimi, który miał ustalić nakoniec los zbiorów Świdzińskiego, a bibliotekę Krasieńskich na nowe pchnąć tory. Ordynacja Krasieńskich otrzymywała zbiory na bezwzględna własność, ordynacji jednak zobowiązywali się, że zbiory te umieszczone w Warszawie będą zawsze dla uczonych polskich dostępne. Świdzińscy, chcąc chociaż w części wykonać wolę brata, przeznaczili wieczyście na wydawnictwa naukowe Muzeum Świdzińskich rubli 450 rocznie.

Hrabia Ludwik Krasieński, dzięki energii którego głównie ocalone były zbiory Świdzińskich, starał się dać materialne podstawy przeobrażonej bibliotece. W tym celu przeznaczal instytucyi 15,000, legowane na dobrach swych dziedzicznych, Krasnem, jednocześnie hr. Karol, głowa linii oboźnieńskiej domu Krasieńskich, ofiarowywał na cel ten rubli 6,000 i darowywał swą piękną bibliotekę, liczącą 1692 dzieł w 2117 tomach.¹⁾

Za wielką zasługę hr. Ludwika Krasieńskiego poczytywać należy i to, że usiłował w urzędzeniu instytucyi uszanować intencję Świdzińskiego; postarał się więc nawet o wybranie rady bibliotecznej, która, skła-

dając się z najwybitniejszych naówczas przedstawicieli nauki polskiej, miała śledzić, by Biblioteka hr. Krasieńskich dobrze spełniała swe naukowe zadania.

Pierwszym bibliotekarzem połączonych zbiorów Krasieńskich i Świdzińskich zamianowany został Władysław Chomętowski, historyk-samouk, odznaczający się wielką miłością przeszłości i pracowitością iście benedyktyńską.



SALA KOLUMNOWA W BIBL. KRASIEŃSKICH

fol. J. Niekrasz.

W ciężkich warunkach, pobierając zaledwie 450 rubli pensyi rocznej, wziął się on porządkiem do ania zbiorów, rozrzuconych podczas długich wędrówek. Jednocześnie prowadził on wydawnictwo pierwszych tomów Muzeum Świdzińskiego. Pozostałe dotąd w bibliotece liczne inwentarze, sporządzone przez Chomętowskiego są trwałym pomnikiem jego 15-letniej działalności. Chomętowski zmarł w roku 1876 i miejsce jego zajął Ignacy Janicki, ze studyów swych matematyk, dawny nauczyciel domowy hr. Władysława Krasieńskiego. Janicki przez całą swą młodość ma-

ł do czytania z historią i bibliotekarstwem, to też 10-letnia jego działalność w księgozbiorze Krasieńskich nie pozostawiła śladów zbyt dodatnich. Świątelnego kierownika zyskała biblioteka po śmierci Janickiego w osobie Aleksandra Rembowskiego. Człowiek wielkiego talentu, jeden z największych polskich historyków prawa, zasłużył się Rembowski instytucyi, na której czele stał przez lat 10, wydając świetnie kilka tomów „Muzeum Świdzińskiego”, jako to

¹⁾ Szczegóły, tyżące się pozyskania zbiorów Świdzińskiego, zacierpnęliśmy z archiwum Bibl. Or. Krasieńskich, a także ze studyum p. Fr. Pułaskiego „Spory o bibliotekę i zapis Konstantego Świdzińskiego”.



„Konfederacya i Rokosz”, „Głos wolny” Leszczyńskiego, „Historya pułku lekkokonnego”. Zamiłowanego pomocnika miał ś. p. Rembowski w panu Zygmuncie Wolskim, namiętnym bibliofilu, świetnym znawcy dziejów polskiego drukarstwa, księgarstwa i introligatorstwa.

Choroba nie pozwoliła Rembowskiemu dożyć do końca życia na stanowisku bibliotekarza. Na jego miejsce powołał wstępujący wówczas w życie publiczne ordynat Adam Krasiński prof. Józefa Kallenbacha. Znakomity znawca dziejów literatury polskiej miał według intencji hr. Adama Krasińskiego postawić bibliotekę Krasińskich na wysokości rzeczywistej instytucji naukowej. Profesor Kallenbach wziął się też z zapalem do pracy, rozpoczynając na nowo przerwana od lat 20, to jest od śmierci Chomętowskiego, inwentaryzację zbiorów. Po ustąpieniu pana Wolskiego zyskał sobie prof. Kallenbach nowego pomocnika w osobie pana Fr. Pułaskiego, który całą swą ambycją, cały swój zapał młodzieńczy i zamiłowanie do dziejów języka i narodu polskiego włożył w swą pracę. Uporządkowanie i opisanie druków XV i XVI wieku, zinventaryzowanie pokaźnej części rękopisów pozostało trwałą pamiątką działalności p. Fr. Pułaskiego. Powołanie prof. Kallenbacha na katedrę literatury polskiej w uniwersytecie lwowskim wywołało zmianę w kierownictwie biblioteki, na której czele stanął młodziutki wówczas mediewista dr. Stanisław Kętrzyński. Paleograf papieski, wyspecjalizowany bibliotekarz i archiwista, poświęcił dr. Kętrzyński wszystkie swe siły racjonalnej inwentaryzacji biblioteki. A praca to była żmudna, w czasie bowiem swego półwiekowego istnienia biblioteka dzięki wysiłkom domu Krasińskich i ofiarom osób rozumiejących znaczenie jej dla nauki wrażliwa stała stale.

Dobry początek dał ród Łubieńskich, przekazując bibliotekę Krasińskich cenny księgozbiór Leona hr. Łubieńskiego. Później przybywają zbiorzy d-ra Huberta Krasińskiego, wśród których nie brak dyplomów pergaminowych i rękopisów. Za kierownictwa Rembowskiego wspaniała dar składająca bibliotekę: Ludwik Górski i Kazimierz hr. Krasiński w postaci cennego archiwum Buttlerów

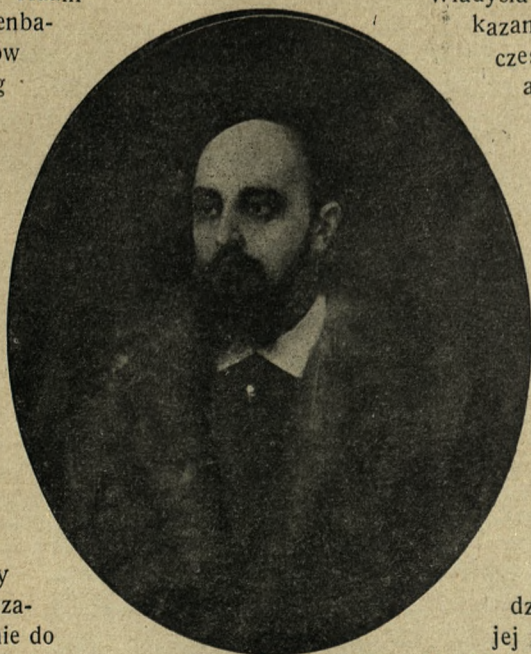
i Ossolińskich, przechowywanego przedtem w Sterdyni. W lat parę otrzymuje biblioteka w darze księgozbiór po ś. p. Józefie Wolffie, znanym heraldykiem i historykiem Litwy, liczący około 2100 tomów książek, oprócz cennych wypisów z metryki litewskiej. Zbiory Wolffa, zawierając w sobie niemal wszystkie wydawnictwa, związane z dziejami z Litwy, stały się jedną z najważniejszych części biblioteki. Niemniej cenne są zbiory ś. p.

Władysława Pobóg Górskiego, przekazane bibliotekę niemal jednocześnie ze zbiorami ś. p. Wolfa a składające się z przeszło 500 dzieł i szeregu rękopisów związanych z dziejami Rusi. Jedynymi w swoim rodzaju są przekazane bibliotekę w lat parę później zbiorzy ś. p. Józefa Drège'a, zawierające 4258 dzieł, rękopisów, fotografii, dyplomów etc., ilustrujących dzieje polskiego ogrodnictwa w najszerszym znaczeniu tego wyrazu. Rok 1910 zaznaczył się również pomyślnie w dziejach biblioteki, przynosząc jej piękny księgozbiór po mecenasie Mierosławskim, zawierający dzieła treści historyczno-ekonomicznej w ilości około 1000 tomów,

a nadto bogatą bibliotekę po ś. p. profesorze Spasowiczu, ofiarowaną przez panią Alicję ze Spasowiczów Henfortową. Oprócz kilku bardzo cennych pergaminów zawiera księgozbiór Spasowiczów piękny zbiór szekspiryanów, a dalej historię, filozofię prawa, historię Polski, Rosyi i t. d. Rok bieżący upamiętnił się w dziejach biblioteki uzyskaniem części zbiorów hr. Krasińskich z Radziejowic, a nadto księgozbioru po ś. p. doktorze Lubeckim, w którym przeważa historia kultury. Musimy jeszcze wymienić dwa cenne archiwa rodzinne, jakie w czasach ostatnich przeszły na własność biblioteki, a mianowicie archiwa hr. hr. Wielhorskich i Dembowskich, a będziemy mieli obraz tego ruchu, jaki panował w bibliotekę Krasińskich w ciągu lat 50.

(DN)

Dr. Ig. Baranowski.



LUDWIK HR. KRASIŃSKI
p.j. obr. w Bibl. Ord. Krasińskich.





Włość Lebedziowska. 2)

Ale zanim osiągnięto ten stopień doskonałości gospodarskiej, trzeba się było przedrzeć przez całą pierwotną dziewiczość, przez najtrudniejsze początki; jeżeli zważymy kolosalne przestrzenie posiadłości Holszańskich, to zrozumiemy łatwo, że pomimo całej swojej potęgi ród ten na własną rękę podjąć i przeprowadzić tego trudu nie mógł. Trzeba było przywołać do pomocy liczniejsze głowy i ramiona, trzeba było pracę podzielić. Jak wszędzie na Litwie, tak i w Holszańszczyźnie od najwcześniejszych czasów panuje system feudalny.

Badanie przyczyn, które tę formę układu stosunków społecznych wywołały, zarówno jak i badanie ewolucji feudalizmu litewskiego zadalekoby nas zaprowadziło. Konieczność silnej organizacji wojskowej przy bardzo słabym rozwoju ekonomicznym, charakter zaborczy państwa litewskiego, siłą rozszerzającego swoje granice, liczne a rozrodzone szczepy kniaziowskie, zarówno litewskie jak ruskie — wszystko to wywołało warunki nader podatne dla rozwoju systemu lennego władania ziemią. System ten ogarnął całą Litwę i Ruś, stworzył całą drabinę zależności feudalnej, związał społeczeństwo niesłychanie mocno pojęciem „służby”, jako naturalnej zapłaty za prawo do życia. Żyjesz, więc służ, a ideałem wolności jest służyć wybranemu przez siebie panu — oto w krótkich słowach obraz ustroju społecznego litewskiego w XV i XVI w.

Na tem tle zrozumiemy klasę „bojarów”, później „ziemian” lebedziowskich.

Z olbrzymich obszarów swoich Holszańscy bez wahania wykrawali większe i mniejsze kawałki i nadawali je w lenno bojarskie swoim służebnikom dworskim, wojownikom z pod swej chorągwi, wreszcie wszystkim chętnym a zaopatrzonym w pewien kapitał, czy to w ludziach czy w inwentarzu czy w gotówce. Z otrzymanego imienia obdarowani obowiązani byli do pełnienia służby, której warunki były dość rozmaite, najczęściej jednak ograniczała się ta służba do służby ziemskiej, t. j. do obowiązku stawiania zbrojno samemu czy z odpowiednim poczem pod chorągwią pańską w razie wyprawy wojennej.

Stanowili w ten sposób bojarzy rodzaj osiadłej na ziemi drużyny pańskiej czy książęcej, podległej sądownictwu „pana” i związanej z nim ścisłą zależnością lennika do suzerena. Za zgodą tego suzerena mógł bojar przekazywać swoje lenno dzieciom czy krewnym i faktycznie całe pokolenia jedno po drugim nieprzerwanie użytkowały z ziemi zroszonej potem ojców i dziadów i drogą zupełnie naturalnego procesu dążyły z biegiem czasu do zdo-

bycia tej ziemi na zupełną własność. Niemalą podobną do dążeń emancypacyjnych z pod zależności lennej były wolności szlachty polskiej; to też obawa przed niebezpiecznym przykładem długi czas powstrzymywała magnatów litewskich od ostatecznej unii z Koroną. Akt Unii Lubelskiej z 1569 r., będący olbrzymim krokiem naprzód w rozwoju Litwy, zostawił jednakowoż położenie „ziemian” pańskich prawie nietknięte. Silniejsi wybijali się własnymi siłami i przechodzili w szeregi ziemian królewskich, słabsi pozostawali nadal w dotychczasowej zależności. Do samego końca Rzplitej ciągnie się proces ich emancypacji, do samego końca egzystuje klasa szlachty poddanej „panom”.

W Lebedziowie osadzali Holszańscy bojarów-ziemian prawie wyłącznie w południowej stronie włości, w części nieco wynioślejszej, mniej pokrytej lasami, dogodniejszej do uprawy. Zajęte przez nich terytorium obejmowało w 1575 r. 88 włók litewskich, podzielonych na 9 oddzielnych „imion”. Starym obyczajem stawiali wówczas ziemianie lebedziowscy pod chorągwią lebedziowskiego dziedzica.

Czy długo jeszcze trwał ten stan rzeczy? — niestety, nie mamy materiałów, któreby nam pozwoliły zbadać, kiedy nastąpiła ostateczna emancypacja. Posiadłości bojarskie były niewielkie, 5—10 włókowe, zwykle w kilkunastu kawałkach rozrzucone; służyli z nich jednym koniem, wyjątkowo p. Hryniewski, posiadający 20 włók, staje w poczcie książęcym we dwa konie. O miedzę z bojarami siedzieli tatarzy lebedziowscy; dzisiaj ślad ich zaledwie pozostał, w XVI w. zajmowali z górą 28 włók ziemi w 5 osadach, przyczem z każdych 3 włók winni byli jednym koniem na potrzebę ziemską w poczcie pańskim stawać; razem rachowano w Lebedziowie 7 koni tatarskich.

Ale oprócz tych drobnych bojarskich i tatarskich kolonii mamy we włości Lebedziowskiej interesujący przykład silniejszego i znacznie wcześniej emancypującego się władania bojarskiego — przykład Malinowszczyzny.

Jeszcze w XV w. Aleksander Holszański lub jego ojciec, kn. Jurij, nadał niejakiemu Miłkowskiemu obszerny szmat ziemi lebedziowskiej w północno-zachodniej stronie włości od rzeki Uszy aż pod sam Lebedziów; obszar ten, na północy pokryty puszcza bezpośrednio łączącą się z puszcza lebedziowską, nad Uszą przechodził w szeroki pas łąk, wreszcie na południu na lekkich falistościach miał rozległe polany dogodne do uprawy.

O tym Miłkowskiem i jego rządach nie mamy żadnych wiadomości. Po dobrej woli, czy z mu-



su, opuszczając ten kawał ziemi, przekazał on mu tylko swoje nazwisko. Jako „Miłkowszczyzna” dostało się to terytorium od kn. Aleksandra Jurjewicza Janowi Horainowi w dożywotnie władanie, oczywiście z obowiązkiem pełnienia służby bojarskiej. Jan Horain mieszkał na tem imieniu, dzięki łasce pańskiej znacznie pomnożonemu, i za „panowania” ostatniego z Holszańskich—kn. Pawła, biskupa wileńskiego. Ale źle bardzo szła mu gospodarka, ludzie się rozpraszali, ziemie oddzielne sprzedawał, słowem doprowadzał majątność do upadku; jeszcze gorzej było, kiedy po śmierci starego Horaina dostała się Miłkowszczyzna jego synom: Stanisławowi, Pawłowi i Marcinowi. Ubożyli oni ziemię w dalszym ciągu, a kniaziewi Pawłowi żadnej posługi świadczyć nie chcieli; jakoż dziedzic lebedziowski, zważywszy, że już ojciec ich sam od siebie precz wypędzał za ich życie nierządne, zważywszy, że żadnego prawa wieczystego do tej ziemi nie mają, odebrał im Miłkowszczyznę w 1540 r. i nadał na wieczność studze swojemu, Mikołajowi Malinowskiemu. Obowiązany był Malinowski do poddaństwa i do służby ziemskiej samotrzc konno i zbrojno — ale wszystko to tylko do żywota kn. Pawła. Po jego śmierci otrzymywał Malinowski możność służenia komu zechce, osiągając w ten sposób najwyższy na Litwie stopień wolności obywatelskich.

W skład nadanej Malinowskiemu majątności, oprócz ziem, lasów, rzek, stawów i t. d. wchodziłi i „ludzie” i „studzy putni” z ich „służbami, daninami, dochodami i opłatami.” — Skąd się ci ludzie wzięli — nie mamy na to żadnej odpowiedzi. Być może, że osadzali ich Horainowie, i toby tłómaczyło znaczne wynagrodzenie (100 kop. groszy), jakie Malinowski młodym Horainom za ich pretensye do Miłkowszczyzny wypłacił.

Nowy posiadacz Miłkowszczyzny był szlachcicem podlaskim herbu Jastrzębiec, od młodości w służbie Holszańskich szukającym kariery. Razem z Jasięskimi, Michałowskimi, Czarkowskimi należał on do tego zastępu polaków, którymi się otaczał i których świadomie wiązał z Litwą książę biskup wileński. Jego to inicjatywie zawdzięczamy pierwszą warstwę polaków, osiadających w wileńskim i oszmiańskim powiatach. Jako ślad tej kolonizacji w Lebedziowie zostało nam kilka aktów majątkowych z 1550—1 roku, dotyczących Miłkowszczyzny, pisanych po polsku; później nieliczny napływowy żywioł asymiluje się widocznie, przez cały wiek XVI przeważa w aktach ruszczyzna.

Poza zrujnowaną gospodarką odziedziczył Malinowski po Horainach nową nazwę swojej posiadłości: od 1540 dawną Miłkowszczyzna zwie się przez lat osiemdziesiąt Horainowszczyzną.

W r. 1555 umarł biskup wileński, kn. Paweł

Holszański, i od tej chwili zrywa się wszelki związek zależności Horainowszczyzny od Lebedziowa, a Malinowscy z bojarów czy ziemian lebedziowskich stają się ziemianami hospodarskimi.

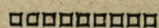
W zabiegliwych rękach Mikołaja Malinowskiego i jego potomstwa Horainowszczyzna powiększa się przez nowe nabytki, podnosi gospodarczo i co za tem idzie wzrasta w cenę. Z dwóch żon (Nastasii Uswijównej i Małgorzaty Jasięńskiej) zostawił Mikołaj Malinowski dość liczne potomstwo, najbardziej jednak ukochał córkę Różę, wydaną za Jana Bartoszewicza Czarkowskiego i jej też znaczna część majątku ojcowskiego się dostała: Burkiszki w powiecie markowskim, karczma w Lebedziowie i wreszcie w zastaw cała Horainowszczyzna.

Dopiero w 1582 zrezygnowali Czarkowscy z tej zastawy na rzecz Mikołajewiczów Malinowskich, z których Stanisław spłacił braci i testamentem z 1594 r. zapisał żonie z litewskiego rodu Wialbutów cały majątek ruchomy, a na Horainowszczyźnie 11,000 kop groszy litewskich. W tej sumie trzymała Horainowszczyznę Stanisławowa Malinowska; zapisała ją od siebie w 1605 r. synowi z pierwszego małżeństwa, Adryanowi Wojtkowskiemu. Od tego przez siostrę Krystynę z Wojtkowskich Mikołajową Rutką dostała się Horainowszczyzna Adamowi Mikołajewiczowi Rutkiemu, który od potomków Malinowskich skupił ich pretensye za 1000 kop groszy i całą Horainowszczyznę sprzedał w 1619 r. Janowi Hołowni, sędziemu ziemskiemu nowogrodzkiemu za 2400 kop groszy lit. W ten sposób bardzo okólną drogą spotkała się znowu Horainowszczyzna z Lebedziowem w jednym ręku Hołowniów, którzy nabyli Lebedziów jeszcze w 1588 r.

W kilka lat po wyjściu Horainowszczyzny z rąk Rutkich, ostatnich sukcesorów Malinowskich (po kądzieli), spotykamy w 1622 r. po raz pierwszy dzisiejszą nazwę tego terytorium: Malinowszczyzna. Ten proces przemiany: Miłkowszczyzna, Horainowszczyzna, Malinowszczyzna, jest bardzo charakterystyczny i wskazuje dobitnie na charakter spadkowo-szczątkowy, jaki tkwi w tym typie nazw personalnych geograficznych.

Dalsze losy Malinowszczyzny i Lebedziowa są dla nas mniej ciekawe; znaleźć je można opisane w pięknej książce Czesława Jankowskiego „Powiat Oszmiański”. W początkach XIX w. drogą kupna dostała się Malinowszczyzna rodzinie Świętorzeckich, której zawdzięcza swój obecny kwitnący stan. A nadto nauka polska zawdzięcza p. Boleśławowi Świętorzeckiemu przekazanie do Biblioteki Krasieńskich bogatego i bardzo interesującego archiwum malinowskiego, archiwum, które pozwoliło nam skreślić szkic niniejszy.

Witold Kamieniecki.





Stan wsi polskiej na Podkarpaciu. 4)

Należy zaznaczyć, że drożyzna robotnika wiejskiego sprawia, że duża liczba dzieci nie jest ciężarem, lecz raczej korzyścią w gospodarstwie. Wychodźtwa zarobkowe do Ameryki ma jeszcze jedną dobrą stronę, a mianowicie odłuzenie chłopów (które zawsze było lichwiarskie), dość znaczne przed wychodźstwem, w obecnych czasach znikło, i nawet na wsiach, gdzie parcelacya słaba, gromadzą się wśród chłopów oszczędności, w ruchliwszych zaś wioskach długi nie są znaczne i mają charakter wyraźnie wytwórczy. Jednocześnie nastąpiło polepszenie gospodarki, szczególnie w zakresie inwentarza żywego. To zmusza często do dokupywania siana i koniczyny po dworach, a w następstwie daje przyrost nawozu w najlepszym gatunku. W ostatnich czasach kredyt przyjął postać kas reifeisenowskich, dawniej był on wyłącznie osobisty; to też, gdy w latach 1875—80 płacono 20 od sta, to

1880—90 „ 20—12

1890—1900 „ 12—8

obecnie zaś płacą 8—6 od sta.

Uznając, że poziom kulturalny się podnosi, autor zaznacza rozmaite jego strony, a więc stanowisko kobiety — chociaż niby zasadniczo, jak i dawniej mężczyźnie podległej — ulega uszlachetnieniu; dzieci przestają być traktowane jako bezwarunkowa własność ojca, a nawet, odwrotnie, dorastające wywołują narzekania (zwykle przesadne) rodziców.

Nastąpiła bardzo głęboko sięgająca zmiana stanowiska społecznego chłopów. W dziewięciu wsiach, w których te dane można było sprawdzić, w r. 1820 istniało 114 rodzin komorników, t. j. proletariatu bezrolnego — mowa o gruntach dworskich, po chłopskich musiało ich istnieć najmniej drugie tyle; — w roku 1908, gdy ludność przeszło się podwoiła, tego rodzaju ludności naliczono ledwie 61 rodzin.

Na 1000 ludności męskiej wypada 1050 kobiet, co wskazuje na znaczną nieobecność w domu żywiołu męskiego. Odsetek ludności do lat 15 w roku 1890 wynosił 39,66, a w r. 1908 wzrósł o całe 4 od sta; tu mamy do czynienia częściowo ze skutkiem wychodźtwa ludzi dorosłych, a częściowo z mniejszą śmiertelnością dzieci — owym probierzem kulturalności kraju.

Pod względem poczucia narodowego chłop z omawianych okolic, dawniej wyłącznie „cesarski”, pod wpływem Ameryki w ostatnich dwudziestu latach sam zaczął mówić o sobie, że jest polakiem, chociaż jednocześnie kult dla cesarza nic się nie zmniejszył.

Połączony wpływ usamodzielnienia i uwła-

szczenia w r. 1848 oraz wychodźtwa spowodował najgłębszą zmianę w zakresie pracy i jej wydajności: dawniejszy pijak, na wszystko obojętny i nie dbały — dziś jest pracowity, zabiegły i ufny w swe siły. Wpływ wychodźtwa odbił się korzystnie — wbrew powierzchownym opowiadaniom — nawet w zakresie moralności płciowej.

Zaczynają się zjawiać i zaczątki wioskowego kupiectwa, rekrutujące się z chłopów, a i ten żywioł zapowiada się jako ruchliwy i przedsiębiorczy.

Dokonywa się ciągły postęp, stopniowy lecz głęboko sięgający przewrót, a żywioły odpowiednie istnieją wśród samych chłopów; żywioły ciężkie, przeszkadzające postępowi życia wiejskiego także wśród nich istnieją, ale w chwili bieżącej bodaj że wpływ przeszedł w ręce grupy ruchliwej. Swoją drogą chłop patrzy z lekceważeniem na wszelkie utopie wiejskie, gdyż odznacza się niestłuchanym realizmem.

Wpływ wychodźtwa odbija się na języku przez pewne naleciałości angielskie, które jednak po powrocie wygładzają się.

W zakończeniu autor stwierdza, że obecnie nawet w najbardziej zapadłym kącie Podkarpacia już nie można mówić o gospodarstwie naturalnem, gdyż wszystko jest wciągnięte w wir wymiany.

Można już mówić o wpływie wzajemnym świata chłopskiego i oświeczonego: pierwszy wszechstronnie czerpie od drugiego oświatę, drugi podlega wpływowi ludu w zakresie poezji i sztuki.

Zaczynają występować objawy zróżniczkowania wewnątrz pozornie jednorodnej masy chłopskiej, a chociaż jeszcze nie doszło do wyodrębnienia warstw, jak w Niemczech, jednak już daje się zauważyć patrycyuszów i plebeuszów, co naprz. przy zawieraniu małżeństw już odgrywa pewną rolę.

Na str. 399 i następnych autor kreśli wyzwolenie człowieka z pod zależności od przyrody i porównywa z jednej strony z przeszłością od wieków średnich, a z drugiej strony z terażniejszością w krajach ościennych i dalszych. Jeżeli w wiekach średnich w Europie Środkowej wyżywienie rodziny wymagało 60—90 morgów, to obszar ten wciąż się zmniejszał, zależnie od opanowania przyrody przez człowieka, i jeszcze w ostatnich 60 latach na Podkarpaciu znacznie się skurczył, spadając od 5—15 morgów. W Europie im kultura rolna i społeczna jest wyższa, tem mniej ziemi wystarczy na wyżywienie rolnika (w Japonii w okolicach uprawiających ryż rozdrobnienie ziemi spada do 1/8 morga na głowę), a na wschód od Polski etnograficznej ten obszar niezbędny wzrasta.



Ten rozdział książki należy do tematów nie tylko Polskę obchodzących, bo tu autor wkracza w porównania bardzo pouczające. Oto na całym świecie kulturalnym mogą istnieć na równinach wielkie gospodarstwa (folwarki, fermy, plantacje) obok małych, w krajach zaś górzystych rzecz inaczej wygląda. Wielka własność, posługująca się najemną robocizną oraz najemnym dozorem i zarządem, znajduje warunki przyrodzone dla siebie zbyt trudne i wszędzie w górach ustępuje przed chłopem, pracującym przy pomocy rodziny. Nadmiar rąk wolnych zmusza chłopów do poszukiwania ziemi i do wychodźstwa, i oto mamy rzecz niezaprzeczoną, że jak nad Wielopolką parcelacja rozpoczęła się od folwarków najwyżej położonych, tak w całym świecie góry stanowią obszar własności drobnej i wychodźstwa zarobkowego. To idzie równorzędnie z chowem zwierząt domowych, których równiny z folwarkami posiadają stosunkowo mniej niż góry.

„Im górzystszy, im wyżej położony jest kraj, tem mocniej występują i przeważają drobne postaci gospodarcze“.

Zbliżam się do końca w tem dość pobieżnym streszczeniu książki d-ra Stanisława Hupki, książki, która nie jest zjawiskiem pospolitem w naszym piśmiennictwie... czy jednak naszym? Pytam się, dlaczego polak, piszący o sprawach polskich, czyni to po niemiecku? Jeżeli polska publiczność czytająca nie warta jest tego, aby dla niej pisano rzeczy tak piękne i wartościowe, jak omawiana książka, to jednak prof. Fr. Bujak po polsku pisał „Maszkienice”, „Żmiąca”, „Limanową” lub „Studia nad osadnictwem”. Gorycz się uczuwa na myśl, że polski uczoney z własnej woli oddaje kulturze niemieckiej „swych myśli przędę”, ale jaką przędę! Bez przesady należy to podnieść, że współczesna myśl polska niewiele posiada pisarzy ekonomicznych, którzyby łączyli gruntowną wielostronną wiedzę ze znakomitą metodą, a właśnie d-r Stanisław Hupka jest takim, że można go postawić obok Bujaka. Znakomite przygotowanie przyrodnicze, które mu pozwala na świetne porównania z danymi biologicznymi z geologii, fizyografii i agronomii, pozwala mu operować pojęciami gospodarczo-rolnymi w sposób doszczętnie wyświetlający omawiane zagadnienia. Surowe wymagania, stawiane samemu sobie przy operowaniu danymi liczbowymi, a zarazem bezstronność rzadko u nas spotykana, ogromna wiedza przygotowawcza (historia, ekonomia polityczna, metodologia) i zgłębienie życia gospodarczego, kulturalnego i społecznego nad Wielopolką sprawiają, że

autor przekonywa czytelnika, który zapomina o niemieczyźnie i zaczyna się zachwycać znakomitym tworem myśli polskiej. Bo pomimo szaty niemieckiej omawiana praca ma jedną cechę wybitnie polską, a mianowicie wielostronność autora. Żartowano niegdyś, że specjalista — to taki człowiek, który umie robić jedną tylko rzecz, ale za to... kiepsko; otóż cechą umysłu polskiego jest skłonność do wielostronności (nie do wszechstronności, bo ta w swej istocie jest rzeczą niemożliwą), a właśnie autor wykazuje imponującą erudycję wielostronną, łączy jednak tę cenną zaletę z naukowym pogłębieniem części składowych i z metodycznym wyszkoleniem. Proszę porównać metodę S. Hupki z brakiem metody E. Hanslika w jego „Kulturgrenze...” (patrz „Ziemię” №№ 1 i 2 r. b.); jaka tam paradoksalność, naciąganie związku człowieka z przyrodą, łatane lichą niby-logiką ku większej chwale niemieckości.

Związek człowieka z przyrodą S. Hupka potrafi rozkładać na nitki, a nitki na włókna, i jak o geologu Heimie mówi się, że dla niego Alpy są zbudowane ze szkła — bo on oczami duszy nawskroś przegląda ich tektonikę, tak samo dla Hupki związek chłopu polskiego z ziemią-żywicieleką jest przejrzysty i zrozumiały w szczegółach, we wzajemnym ich na siebie oddziaływaniu i w ich ostatecznym wyniku.

Obowiązek sprawozdawcy nakazuje mi mówić o brakach książki; — otóż ani braków, ani nawet niedokładności niema, jeżeli zaś to i owo się nasuwa, to są to conajwyżej niedopowiedzenia; — erudycya i metoda ustrzegły autora od braków! Dzieło d-ra St. Hupki jest poniekąd wzorem, jak tego rodzaju monografie pisać należy.¹⁾

Stawiając Hupkę obok Bujaka, nie mam zamiaru nazywać pierwszego uczniem drugiego. Jeżeli nawet autor „Maszkienic” nasuwa się na myśl, nie zmniejsza to samodzielności Hupki, obaj natomiast mają to wspólne, że są w naszej nauce przedstawicielami wiedzy ekonomicznej wielostronnej, są wzorami o wykształceniu głębokim i planowym, o metodzie bez zarzutu. Ich operowanie pojęciami geograficznymi jest ziszczeniem marzeń zgasłego przed pół rokiem W. Nałkowskiego, który pragnął, aby ekonomista rozumiał i oceniał zwią-

¹⁾ Nauka zachodnio europejska w ostatnich czasach wyłania mnóstwo szkiców, studyów i monografii antropogeograficznych. Pracując na prowincyi zdala od bibliotek i ruchu umysłowego, sprawozdawca nie może mieć pod ręką wszystkiego; porównyując jednak z najwibitniejszymi (np. J. Levainville'a „Le Morvan” lub F. Weisbacha „Wirt. Verhältnisse... des sächsischen Erzgebirges“) uważam, że praca Hupki raczej wyżej stoi, niż na równi z niemi.



zek człowieka z ziemią. A jakąż to różnica z ekonomistami, piszącymi w Królestwie, gdzie w Warszawie szukać takiego wyszkolenia i takiego przygotowania geograficznego! Kilka przyczyn się na to złożyło, a nadewszystko brak naukowej statystyki w Królestwie Polskiem i brak atmosfery naukowej. Tej ostatniej uczniowie Simonienki nie mogli stworzyć, zresztą nie otrzymali nawet metody naukowej. Wysiłki ekonomistów warszawskich tem bardziej wzbudzają podziw, gdy zrozumiemy okropne warunki ich pracy, ale bez metody (o ile zagranicą nie uzupełniali wykształcenia), bez atmosfery naukowej i bez dobrej statystyki ich praca nie może się równać z pracami Bujaka lub Hupki.

Rzecz dziwna, gdy przed paroma laty ukazała się Cleinowa „Zukunft Polens”, to w warszawskim

światku publicystyczno-ekonomicznym zawrzało: ludzie chcieli się okazać tak bezstronnymi, że aż gotowi byli Cleinowowi przyznać bezstronność; a przecież to robota, oparta na źródłach podejrzanych, robota wręcz pachnąca prowokatorstwem;— obecnie już pół roku minęło od ukazania się pracy d-ra St. Hupki, obaczmy, czy książka ta będzie zauważona przez naszą prasę.

Ta praca jest tak ważnym przyczynkiem do znajomości naszych stosunków gospodarczo-społecznych, iż ekonomista lub każdy polak poważniej i głębiej zajmujący się krajoznawstwem, nie może jej nie znać, przeto tem sprawozdaniem zwracam uwagę czytelników „Ziemi” na zjawisko niepowszednie, na książkę d-ra Stanisława Hupki.

A. Sujkowski.



Pomnik szwedzki w Grabowie.



fol. S. Jastrzębowski.

Przy trakcie z Warki do Głowaczowa, a dalej do szosy z Radomia do Kozienic, w odległości 5 wiorst od Warki na gruntach wsi Grabowa nad Pilicą, w pow. kozienickim, stoi kolumna czworoboczna piramidalnie zakończona, z wierzchołkiem utraconym, przeszło cztery metry wysoka. W części środkowej po czterech stronach znajdują się głębokie wnęki podłużne i półokrągło zakończone, w podstawie zaś cztery zagłębienia kwadratowe. Obelisk ten, zbudowany z cegły zwyczajnej, wyglądającej z pod tynku, który w wielu miejscach opadł, zachowany jest dobrze, napisów jednak ani dat żadnych już nie posiada. Według podania wzniesił go szwedzi w drugiej połowie w. XVII nad zwłokami swego generała czy też pułkownika, poległego w bitwie, w której Stefan Czarniecki odniósł zwycięstwo nad szwedzami pod Warką. Również być może, że jest to pamiątka z wieku XVIII, gdy szwedzi w tych okolicach gościli, niszcząc między innymi i miasto Warkę.

Szczesny astrzębowski.





Z Polskiego Tow. Krajoznawczego.



Staraniem komisji wydawniczej Pols. Tow. Kraj. ukazała się nowa serya pocztówek ilustrowanych p. t. „Stara Warszawa”, składająca się z 10 kart, odtwarzających widoki, fragmenty i zabytki dzielnicy staromiejskiej naszej stolicy. Widoki te ujęte są w ładną i oryginalną winietkę pomysłu p. Mikołaja Wisznickiego, osnutą na motywach kraty nadprożnej jednej z kamienic rynkowych i ozdobioną herbami miast w ich chronologicznym przekształcaniu się.

□□□□□□□□□□

Kronika krajoznawcza.

Pisma krakowskie przyniosą garść świeżych wiadomości o robotach, dokonywanych na Wawelu.

Sejm galicyjski, jak wiadomo, przeznaczył Wawel na rezydencję cesarską. Powstała jednak myśl, zaakceptowana przez cesarza, aby odpowiednią część zamku przeznaczyć na przechowanie pamiątek narodowych i zbiorów sztuki. Sale zamkowe, oświetlone oknami z dwóch stron, nadają się bowiem na cele muzealne. Jedyńie wyjątkowo kilka sal, które pochodzą z wcześniejszego średniowiecza, mają oświetlenie jednostronne małymi oknami (strona północna). To też w salach zamku pierwszego i drugiego piętra będzie urządzone muzeum: każda sala będzie urządzona jako osobna całość, np. pokój sypialny, stołowy, garderoba, pokój przyjęć i t. d. bez wszelkich dodatków, gablotek i wogóle aparatów muzealnych. W salach tych nie nastąpią żadne przybudówki, stare odkryte malowania, znalezione pod tynkiem austriackim, będą wiernie zachowane i wyrestaurowane. Malowania te po salach są tylko w małych częściach odkryte, a to z tego powodu, że po odkryciu ich z pod tynku barwy ich wychodzą jaskrawo, a po bardzo niedługim czasie, w kilka tygodni, blakną zupełnie. Muszą więc być odrestaurowane przez artystę-malarza (obecnie p. Makarewicz), który je musi restaurować zaraz po odkryciu z pod tynku w drobnych kawałkach. Malowań tych nieodkrytych jest na II piętrze w skrzydle północnym zachowanych we wszystkich salach o wiele więcej, aniżeli przypuszczano.

Muzeum Narodowe, jako muzeum retrospektywne, mające służyć jako materiał naukowy dla historyków sztuki i szerszej publiczności, znajdzie pomieszczenie w ogromnym gmachu szpitalnym, mieszczącym około 60 sal o doskonałym oświetleniu i wielkich rozmiarach. Plan na przebudowę tego budynku szpitalnego na Muzeum Narodowe wykonał p. Jan Zawiejski. Skoro

na wzgórzu wawelskim utworzone zostanie w poszpitalnym gmachu wspomniane Muzeum Narodowe, będą wtedy Sukiennice krakowskie na Rynek mieściły w swoich salach tylko obrazy wyłącznie współczesnej sztuki polskiej.

W drugim budynku, dawniej przeznaczonym dla rekonwalescentów, obok baszty t. zw. złodziejskiej, projektowane jest umieszczenie archiwum grodzkiego, obok zaś już w budynku polskim z XV wieku, znajdzie miejsce Archiwum miejskie, nadto w dalszych budynkach ku muzeum dycecyalnemu ma być umieszczone polskie Muzeum ludoznawcze. Drobne pokoje nadają się doskonale na umieszczanie wewnątrz chat chłopskich.

Główny zewnętrzny podwórzec zamkowy przedstawia dzisiaj nasyp z czasów austriackich; zasypano go rumowiskiem z wielu budynków polskich, które na podwórcu tem istniały, aby wyrównać różnicę poziomu i nie wywozić rumowiska.

Przy badaniu terenu tego podwórca odkryje się wszystkie dawniej istniejące tam budynki polskie w planach i z cokołów, a może też znajdą się i piwnice pod dawniej istniejącymi kościołami św. Jerzego i św. Michała.

Prace restauracyjne Wawelu rozłożone są na szereg lat. Są jednak starania, aby pomimo wielkich kosztów do końca roku przyszłego ukończona została restauracja krużganków wewnętrznego podwórca zamkowego, oraz, aby nad całym zamkiem królewskim dawna, z XVIII wieku pochodząca drewniana więźba dachu zastąpiona została przez konstrukcję żelazną, krytą dachówką, aby gmach ten zabezpieczyć na zawsze od pożaru. Pod tą konstrukcją dachu przywrócony będzie na całym zamku gzyms kamienny według dawnych śladów oraz drobne okienka na strychu, którym austriacy nadali zupełnie inną formę. Z prac tych wykonane będą do końca tego roku trzy czwarte części. W przyszłym roku wyrestaurowany będzie fryz krużganków drugiego piętra w tej samej rozciągłości, jak na skrzydle zachodnim krużganków drugiego piętra, który do tej chwili zasłonięty jest jeszcze tynkiem. Również w przyszłym roku rozpocznie się restaurację fasad zewnętrznych zamku; odnowione będą według odnalezionych śladów okna, które się zachowały, i przywrócone te, których obramienia austriacy usunęli.

Projekty centralnego ogrzewania są gotowe, jakoteż i wiele szczegółów, odnoszących się do restauracji wewnętrznej dekoracji zamku.

W tym samym roku wykonana też zostanie restauracja Szpitala Sandomierskiej, przytykającej do dawnego szpitala, projektowanego na Muzeum Narodowe; inne baszty odnowione będą w przyszłości.

TREŚĆ: S. Matusiak.—Soboty i sobótki; G. Smólski.—Z podróży na Pomorze, (z 1 ryc.); Zbiory polskie. Jg. Baranowski.—I. Biblioteka Ordynacji hr. Krasieńskich w Warszawie (z 5 ryc.); Witold Kamieniecki.—Włość Lebedziowska; A. Sujkowski.—Stan wsi polskiej na Podkarpaciu.—Szczęsny Jastrzębowski.—Pomnik szwedzki w Grabowie (z 1 ryc.).—Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.—Kronika krajoznawcza.—Poza tekstem:

34. Z naszych krajobrazów. „Pjanyj Dub“.

Winietę tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki.—Odbito w tłoczni Piotra Laskauera.—Składał i łąkał Edward Gzlik.—Odbijał na maszynie Władysław Kaczorowski.—Kilse wykonane w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki.—Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.